DZIŚ I JUTRO.



CHŁOPCY NA NARTACH

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY.

ROK VII. KRAKÓW, 15. STYCZNIA 1931. NR. 5.

CENA NUMERU POJEDYNCZEGO 80 GROSZY

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

ROK VII. KRAKÓW - 15. STYCZNIA 1931. № 5.



PRZYSZŁA TĘGA ZIMA!

Oto jak wygląda willa „Cicha“ w Zakopanem — ale ta trójka całkiem jest ze śniegu zadowolona.



DOSIEGO ROKU!

Dosiego roku wszystkim wraz
i wszystkim po kolei:
Dosiego tym, co pośród nas
pracują dla Idei!...

Dosiego tym, co trwają w łzach
i łakną kęsa chleba!
Dosiego tym, co jeno w snach
widzieli uśmiech nieba!...
Dosiego tym, co poprzez znój
wybiegli w podbłękicie!
Dosiego tym, co za kraj swój
gotowi oddać życie!...

Dosiego wreszcie tym, co w świt
na nowe wstali zorze,
by wyrwać zło, polepszyć byt —
Dosiego im!...
Szczęść Boże!!!

E. Kłoniecki.

WYPRAWA DO ZBÓJNICKIEGO KOŚCIÓŁKA

Dzień był cudny... zimowy.

Wybrałyśmy się pod przewodnictwem najlepszej pod słońcem nauczycielki panny Wandy na wyprawę do „Zbójnickiego Kościółka".

Długo szłyśmy ubitą drogą, dążąc stale w kierunku pn.-wschodnim, a tyle miałyśmy animuszu, tyle humoru i radości, że cały cudny, pokryty białym kobiercem świat śmiał się ku nam.

Śmiał się mróz śiarczysty, szczypiąc nasze buziaki i malując „gile" na nosie, śmiał się wesoło wiatr, gwiżdżąc najskoczniejsze oberki, śmiało się niebo modre, malownicze szczyty Beskidów i pełne tajemnic świerkowe lasy.

Daleko na horyzoncie widniała kępka drzew i smukła wieżyczka — to cel naszej wyprawy. Ponieważ polna droga zniknęła już nam z przed oczu, dalszą wędrówkę musiałyśmy odbywać naprzełaj przez pola. Niestety piękno przyrody pochłonęło nas całkowicie. Zapomniałyśmy zupełnie o wszystkich prawach fizyki, a więc i o tem, że pod równą, śnieżną płaszczyzną kryją się nieraz ogromne rowy i doły. Biada niedoświadczonym! Nagle stłumiony krzyk, potem śmiech i wołanie o pomoc. To najmłodsza uczestniczka wycieczki Zonka wpadła nosem w jakąś otchłań i nie mogła się wygramolić.

Za nią panna Wanda i „mistrz" Marysia zapadły się po pas. Widok był tak zabawny, że my z Olą jakimś cudem stojące jeszcze zaledwie po kostki w śniegu, nie miałyśmy siły iść im na pomoc, tylko śmiałyśmy się bez końca. Ale trzeba było ruszać dalej!

Nawet nie pamiętam jakie wrażenie zrobiło na mnie moje pierwsze zapadnięcie w zaspę — w każdym razie początek był wesoły i pełen dowcipów. Potem już coraz częstsze upadki i borykanie ze śniegem trochę nas zmęczyło. Droga stawała się nieznośna, humory się popsuły, miny wydłużyły w nieskończoność, a przed chwilą roześmiany świat sposępniał...

O biedny Amundsenie! Chociaż zaspy i mróz beskidzki niezbyt mogą się równać z Biegunem Północnym, ale w tej tragicznej sytuacji zdawało mi się, że jestem przynajmniej w pobliżu bieguna i gorąco współczułam wielkiemu podróżnikowi. Ubrania miałyśmy przemoknięte zupełnie i takie ciężkie, bo pokryte warstwą lodową... Brrr... takie straszne zimno!

W milczeniu dobrnęłyśmy do lasu, ale i tam nie była lepsza droga. Zdawało się nam, że końca nie będzie podróży. Głucha pustka boru przejmowała zgrozą i nawet panna Wanda zaczęła okazywać zmęczenie. Kiedy nareszcie drzewa były coraz rzadsze mogłyśmy dojrzeć o kilkaset metrów oddalony gościniec i kościółek. Nowa energja wró-

---

CO MÓWI NOWY ROK?

O ludzie, ludzie. Znów zapatrzeni,
Z nową nadzieją ku mnie idziecie,
Znów chcecie szczęścia trwałych promieni,
Aby nie było smutków na świecie.

A ja prócz kwiatów niosę i ciernie,
Prócz blasków słońca — gromy i burze.
Wyrokom Boskim poddany wiernie
I kolce niosę, nie same róże...

Bo od początku do końca świata,
Zgodnie ze Stwórcy najwyższą wolą
Z kwiatów i chwastów czas wieniec splata,
Szczęście się miesza ze smutną dolą.

Więc nie czekajcie ode mnie tego,
Czego uczynić dla was nie mogę.
Zato przyniosę wam coś takiego,
Co nawet ciemną rozświetli drogę.

Dam wam weselę i siłę ducha,
Której nie straszą trudy, zgryzoty,
Radość, co iskrę każdą rozdmucha
I dobrej woli płomyczek złoty.

Alina Kwiecińska.

siła w wymęczone nogi, a otucha w serca. Powitałyśmy gościniec takiemi okrzykami, że wszystkie wrony beskidzkie zbiegły się, jak na komendę i wtórowały naszej radości. Na chwilę zapomniałyśmy o zimnie i z entuzjazmem oglądałyśmy kościółek.

Było przytem trochę kłopotu, bo niestety cała wyprawa składała się z „idealistek" nie mających przy duszy ani szeląga, a za zwiedzanie i specjalne otwieranie kościółka trzeba płacić. No, ale jakoś tam obeszło się bez „mamony". Widocznie świat nie jest całkiem zmaterjalizowany a my przy okazji zdobyłyśmy nowe doświadczenie.

Zmierzch już zapadał.

Powrotną drogę odbywałyśmy szosą, bo chociaż dalej, ale mogłyśmy wędrować bez przeszkód i obawy utonięcia w zaspach.

Byłam zmarznięta jak sopel lodu, więc niepomna regulaminu, wysunęłam się naprzód i szłam prawdziwym żołnierskim marszem. Ale trudno się rozgrzać, skoro mróz siedzi aż w szpiku kości. Nie słuchałam nawoływań towarzyszek, nic mię nie obchodziło, ani panna Wanda, ani nawet piękny pyzaty księżyc.

Wiedziałam tylko, że mi zimno.

Po chwili dopędziła mię Ola i zaczęła przywoływać do porządku, a zdala dobiegł głos Marysi: „Jaśka czekaj! Przecież panna Wanda nie może tak prędko lecieć, a samej nie wypada. hop! hop! Jaśka!".

Zęby mi dzwoniły jak w febrze i zdołałam tylko wyjąknąć: „M-mą-d-draś! B-bę-d-dę się b-ba-wiła w Wwe-r-rsal, a „krechy" p-pojad-dę w g-gór-rę i zapalenie płuc gotowe".

Widocznie te „krechy" były dostatecznym argumentem, bo Ola przyłączyła się do mnie i razem pędziłyśmy dalej. Jm tylko 4 km..... trzy... już widać Uzdrowisko!

Co za radosne uczucie: koniec nużącej wyprawy, z pewnością podobnego doznali piloci po wylądowaniu na drugim brzegu Atlantyku.

Następnego dnia wszystkie byłyśmy zdrowe i wypoczęte.

To Pan Jezus ze Zbójnickiego kościółka, przez wdzięczność za odwiedzenie Jego samotnego Domku nie pozwolił „krechom" jechać w górę.

J. Kantorska.



Styczeń
to miesiąc
zawodów.

Raj dla
sportowców!

Niebo różowiało, z głębi boru zawiewał chłód. Las ciemniał. Zlewał się w jedną masę a zarazem wypełniał tysiącem wieczornych głosów. Żaby podjęły swe chóry na pobliskich łąkach.

Ziewając i drapiąc kudły Iwan i Proć zleźli ze stogu z sianem na którym przespali spokojnie cały dzień, nie rozbudzeni strzałami ani wizytą komandira.

— Niedługo pójdziemy — rzucili przechodząc. Matka przeżegnała się i wszyscy czworo tknięci jedną myślą, uklękli:

— Pod Twoją obronę, Święta Boża Rodzicielko...

. . . .

— Proć już poszedł wprzód, a my zaraz za nim, rzekł Iwan — zbierajcie się.

— Dalibyście mi już tę kartkę do żyda — zauważył gospodarz, patrząc na odchodzących z podełba.

— Mam ją przecież dać dopiero po przejściu przez granicę — odparła pani Turska wylękniona.

— Wszystko jedno, dajcie lepiej zaraz.

— Nie dam, aż po tamtej stronie — odparła stanowczo.

— Patrzaj jaka! wydam cię zaraz bolszewikom...

— Wydawaj!

Splunął ze złością i wrócił w głąb chaty. Gospodyni z córką zostały na progu.

— Ostawajcie z Bogiem — rzekła do nich pani Turska serdecznie. Nie była to serdeczność udana. Wszakże obie te kobiety były ostatnimi ludźmi jakich żegnały w opuszczonym kraju.

— Z Bogiem — odparły równocześnie zaskoczone. Oni poszli w las za Iwanem, który szedł szybko naprzód. Mrok gęstniał. Deptali suche igliwie trzeszczące pod nogami, to brodzili przez gąszcz paproci sięgających bioder. Chwytały ich za nogi długie pęty widłaków, przytrzymywały kolczaste wicie malin. Wytężając wzrok w ciemności matka prowadziła Janka za rękę, Włodek z Irką szli tuż za nią. W boru leżała cichość, która zdawała się im pełną grozy. Nagle, po dwugodzinnej blisko uciążliwej wędrówce Iwan przystanął.

— Tu poczekamy, szepnął.

— Na co?

— Na Prot'a.

— Myślałam, że do granicy jest bliżej — zauważyła znużonym szeptem pani Turska, opierając się o drzewo.

Iwan roześmiał się w ciemności.

— My nie tacy głupi, żeby blisko chaty przechodzić... odeszli my w bok, dopiero teraz pójdziemy... ale cicho!

Zamilkli, przytuleni do drzew, niewidzialni w mroku, wessani, wchłonięci przez las. Czekali długo. Naraz w prawo o kilometr może od nich rozlegał się strzał jeden, za nim sypnęły się salwą następne. Las rozdrgał się hukiem i echem.

— Boże! co to — wzdrygnęła się pani Turska.

— To Prot... cicho!

Zatętniały kroki z lewej. Ktoś biegł w kierunku strzałów. Z karabinem w ręku, w charakterystycznej śpiczastej czapce strażnik sowiecki zamajaczył między drzewami. Zatrzymał się o kilka kroków od nich jakby nasłuchiwał i pobiegł w kierunku strzałów.

— Teraz! — syknął Iwan — a skoro!!

Schwycił Janka za rękę, zarzucił go sobie na plecy jak barana i pognał naprzód. Mimo ciężkiej postawy biegł bezszelestnie prawie, ruszając się zwinnie jak cień. Pozostali troje nadążali z trudem za nim, darmo starając się stąpać równie jak on zręcznie i ostrożnie. Potykali się o nierówności gruntu, uderzali w ciemni głowami o drzewa. Dyszeli ciężko, szczególnie matka. Świszczący oddech wydobywał się z trudem z jej piersi. Potykała się raz po raz, omal nie upadła. Włodek podtrzymał ją, opasał w pół mocnem ramieniem.

— Puść mnie — prosiła — biegnijcie prędko z Irką naprzód... Prędko bo nie nadążycie... och, już go wcale nie widzę!

— Irka, biegnij, trzymaj się tuż za nim, my za tobą...

— Puść mnie synku! jakoś się dowlokę... byle wy...

— Cicho matuś, nie zostawimy cię przecież...

Biegli dalej milcząc. Włodek wlókł już prawie matkę za sobą. Nie mogła schwycić tchu i słaniała się bezsilnie.

— Puść mnie, zostaw... biegnij sam...

— Nie!

— Ja nie mogę już... Włodek... ja ci każę! idź!

Wytężył wszystkie siły, ujął mocno przeguby jej rąk, podsadził się pod nią, wziął ją na siebie pomimo oporu i zgięty w pół pobiegł wprzód. Bezwładna jej głowa leżała na jego głowie. Wlokące się po trawie nogi szeleściły głośno, zaczepiały o korzenie. Chłopcu łomotało w skroniach z wysiłku, mięśnie omdlewały z bólu. Jeszcze chwilę, jeszcze chwilę! Byle nie upaść! nie upaść! Z wzrokiem utkwionym w plecy biegnącej przed nim Irki pośpieszał jak mógł, wyrywał każdy krok w nieopisanym trudzie, zdobywał go na samym sobie w nadludzkim wysiłku. Zataczał się, przystawał, znów biegł w niepewnem świetle napełniającego las brzasku.

— Włodziu, syneczku, zostaw mnie! — szeptała matka z rozpaczą.

Nie odpowiadał nic, rzężąc głucho z wyczerpania. Nie wiedział już gdzie są, ani jak długa czeka go jeszcze droga. Iwan nie przystawał. Irka zadyszana, zmęczona, obracała się raz wraz na brata z rozpaczą. Zaplątał się nogami w wysokie jagody, zwane „pijanice" i stanął.

— Nie mogę... muszę odetchnąć... — pomyślał. W tej chwili, gdzieś niedaleko za niemi buchnęły wrzaski i strzały.

— Bieżytie! — zawrzasnął na cały głos Iwan i pomknął przodem pod wzgórze. Zapominając o bólu i zmęczeniu, śmiertelnym wysiłkiem, Włodek pobiegł za nim z najdróższym ciężarem na plecach. Groza decydującego momentu zdwoiła, stroiła jego siły. Wspiął się na wzgórze, gdzie zamajaczył mu jakiś kamienny słup, zbiegł, a raczej stoczył się w dół, upadł nieprzytomny, zwalił się na siedzącego Iwana i rodzeństwo.

— No, udało się... — rzekł chłop — dawajcie kartkę...

— Czy mu już w Polsce? — zapytała urywanym głosem pani Turska, podtrzymując głowę leżącego bez tchu Włodka.

— A niby gdzie? Nie widzieli wy słupa? Tu już nie przyjdą... I nie strzelą, bo za górką... dawajcie...

— Polska... — powtórzyła z upojeniem matka — Polska... ależ dam, owszem zaraz... tylko skąd papieru, ołówka?...

— Mam, żyd mi dał... piszcie prędko... — wyciągnął zbrudzoną kartkę i ołówek z za cholewy.

— „Kochany panie Silberman — pisała drżącą ręką matka, oparłszy kartkę o plecy Irki — jesteśmy już... niech panu Bóg....".

— Dawajcie!... — mruknął Iwan, wyrwał niedokończoną kartkę z ręki i znikł w krzakach. Patrzyli za nim zdumieni tym pośpiechem.

— Stać! co za jedni! — zagrzmiało nagle gromko przed niemi. Rumiany, pyzaty, doskonale odziany żołnierz Kopu wychynął z pośród drzew.

— Nasz! Polak! — złożyła ręce matka.

— Irka! patrz! żołnierz polski! — pisnął z uniesieniem Janek — Panie! czy pan jest naprawdę polskim żołnierzem?!

— Gdzie papiery?! Nielegalne przejście granicy... prosze za mną do dowództwa... — rzekł urzędowo przybyły, udając, że nie słyszy, lecz wzrok jego daremnie usiłował być groźnym.

Ruszyli przed nim. Włodek chwiał się jeszcze zlekka, w głowie mu huczało i matka prowadziła go teraz z kolei pod rękę.

— A co on? chory — zapytał żołnierz.

— Nie, tylko bardzo zmęczony... ja biec nie mogę, i on mój syn kochany, niósł mnie taki kawał... chyba więcej jak kilometr.

— Porządny chłopak — stwierdził krótko szeregowiec.

Nie zważając na nic. Janek uczepił się jego ręki, głośno podziwiając mundur, z nabożeństwem dotykając karabinu i orła na czapce, zadając tysiączne pytania, na które sam sobie odpowiadał, aż rozbrojony jego dziecinną serdecznością, młody wojak zauważył mimochodem.

— Dowództwo odsyła z powrotem takich co nielegalnie przechodzą, ale was napewno zostawi...

— Odsyła? — zapytała z przerażeniem pani Turska.

— Ano. — Jakżeby inaczej? Tożby agitatorów komunistów naszło tu jak szczurów. I tak dość tego drańswa przełazi, choć się pilnuje... Ale uczciwych ludzi nie odeślą.

Wyszli z lasu na obszerną polanę, pośrodku której wznosiła się strażnica Kopu, nowy budynek wzniesiony z wielkich bierwion, z wierzyczką obserwacyjną na dachu. Grzędy kwiatów kwitły przed wejściem?

W kancelarji dowództwa przy palącej się jeszcze lampce naftowej drzemał dyżurny podoficer.

— Siadajcie tu niedługo pan kapitan przyjdzie — rzekł do przybyłych, przyjąwszy meldunek żołnierza. Stukając butami, szeregowiec wyszedł, uśmiechając się od drzwi do Janka. Dyżurny zapadł w poprzednią drzemkę. Oni siedzieli nieruchomo, patrząc w milczeniu dookoła. Lampka świeciła żółto, z za okna wlewało się światło błekitne. Świat z perłowo szarego stawał się niebieski. Na ścianie wisiały portrety Marszałka Piłsudskiego i Prezydenta Rzeczypospolitej, śnieżył się i stroszył orzeł na czerwonej tarczy i uchodźcy przywarli oczami do tych świętości z niedowierzającem radosnem zdumieniem. Myśli ich rozpierzchły sie, na poły przytomne. A więc stało się... Byli już w Ojczyźnie. Siedzieli tu niby na krawędzi życia, granicy rozcinającej ich bytowanie na dwie niepodobne do siebie części. Przeszłość się skończyła — przyszłość zaczynała. Jaką się okaże? Co im przyniesie? W jaką formę oblecze się ich istnienie? Matka z bolesnym skurczem serca spoglądała na swe dzieci. Jakież były mizerne, chude, obdarte! Istne nędzoty. Twarzyczka Irki w poświacie świtu zdawała się przeźroczystą. Z westchnieniem nadziei matka pomyślała, że teraz wśród swoich, te jej najdroższe dzieci staną się rumiane, wesołe, że będą porządnie odziane i obute, że wyrosną na szczęśliwych, pożytecznych ludzi, na **wolnych** ludzi!

Włodek z Irką myśleli oboje o tem samem: o czekającej ich szkole, o przyszłych kolegach i koleżankach. Jak ci nowi towarzysze ich przyjmą? Będą umieć nieskończenie więcej, czy zatem nie będą wyśmiewać się z biednych przybyszów? Czy nie wezmą ich za nieuków, próżniaków? Czy zechcą powitać jak swoich?

Wpatrzony w jasny dzień za oknem, mały Janek nie myślał o tem co bedzie. Żegnał przeszłość. Przed oczami widział stary, opuszczony park przy spalonym dworze, wyspę Robinsona, dziurawą łódkę, a w ślad zatem starą Motrę — (poczciwa, droga starowina! co robi teraz? czy bardzo tęskni za niemi?) — i przyjaciela Sydora. (Kochany Sydor! czy pamięta o nim? czy czeka jego powrotu?). Dziecinne serduszko ścisnęła nagła, gorąca tęsknota za opuszczoną ojcowizną i podnosząc oczy na matkę szepnął półgłosem:

— Ale wrócimy tam kiedyś, mamusiu? obiecałem Sydorowi.

Matka uśmiechnęła się do niego przez łzy.

Koniec.

Zofja Kossak-Szczucka.



DZIECI!

Gdy mi jest smutno, źle wśród ludzi,
Gdy w oku tęskna łza zaświeci,
A w sercu żal się jakiś budzi —
Idę z tęsknotą swą do dzieci...
Gdy mi na duszę padną cienie,
Gdy dość mam życia, znoju, trudu —
W oczkach kryjących blask, promienie,
Dawnego szczęścia szukam cudu.
Chłonę dziecięcy szczebiot miły
W którym drżą uczuć czyste blaski,
Sny zbieram, co się nie prześniły,
Łowię promiennych myśli brzaski —

Biorę w swą duszę ich uśmiechy,
Którym jest obcy fałsz, obłuda ..
Dzieci z pałaców i z pod strzechy
Dają mi dusz swych skarby, cuda...
A więc gdy życia bóle, straty
Radości wróżą mi zagładę,
Dziecięcych uczuć zrywam kwiaty
I cicho je na sercu kładę ..
— A gdy skroś smutku słucham chmury
Śmiechu, co radość w duszy nieci,
— Myślę: jak świat-by był ponury
Gdyby zabrakło na nim dzieci!...

Z. Kułakowska.



Z cyklu: „Z ziemi śląskiej".

POWIARKI ŚLĄSKIE

Na południowym krańcu Śląska rozsiadły się wdzięcznie Beskidy. Biegną wyniosłemi groniami od Klimczoka poprzez Stołów, Błatnią, obejdą źródliska Brennicy, rozbiegną się po obu stronach potrójnej Wisełki Wielkim Stożkiem, Czantorją i Równicą, potem zbiegną się na Baraniej, by następnie łagodnym stokiem spłynąć w słoneczną dolinę Istebnej. Kiedy stanąć na którymkolwiek szczycie i polecieć oczyma w dolinę, radość przewielka nasyci serce. Takiej uroczej ziemi nie znajdzie bowiem człowiek na świecie. Mówią, że Pan Bóg zapatrzył się modremi oczyma w jej powstawanie, i uśmiechał się łagodnie, kiedy ją stworzył. Dlatego też może ma ona dzisiaj w sobie to, że człowiek urzeczony jej krasą, wyzbywa się poniewoli na ową chwilę wszelkiego zła, co się w sercu zalągło, bliżej Boga się wydaje i podobnym dziecku się staje.

Ziemia podbeskidzka ma bowiem w sobie uśmiech dziewczyny młodej, co o pierwszem kochaniu marzy. Ma również w sobie i ciszę człowieka, który się modli. Albowiem cudna jest ona nad podziw. To też niedziwota, że obok ludzi

zamieszkały ją stwory przedziwne, łagodne a dobrotliwe, duchy przeróżne i bożęta. Wszędzie się znajdują. I w wodach rzecznych, i w wądolcach leśnych, w głębi ciemnych lasów, w podziemiach kopalń i pod każdem wdzięcznem wyniesieniem jej wzgórzy. Człowiek kiedyś żył z niemi, jak brat z najmilszym bratem znali się wszyscy pospólnie i dobrze im było. Dzisiaj stworzenia te przeszły jeno w nasze powiarki śląskie, o których babki i matki nasze wczas wieczornej godziny, o szarym zmroku opowiadać umieją. Ślązak nie zastanawia się, czy wszystkie owe bożęta i duszki jeszcze istnieją. Może są — któż to może wiedzieć. Rzadko ich bowiem dzisiaj uświadczyć. Lecz pamięć o nich żyje między ludem, przekazywana w radosnem dziedzictwie z matki na dzieci. Duchy te żyją do dzisiaj swojem odrebnem życiem, jasne jakieś, w miarę złośliwe — a raczej nie złośliwe, ile raczej figlarne. Życie ich jest tak samo realne i codzienne jak u każdego człowieka. Nic w nich niema z nadzwyczajności z tej niesamowitości wobec której człowiek staje bezbronny i słaby, jak małe dziecko. Przeciwnie. Słuchając powiarek naszych odnosi się wrażenie — że Ślązacy w tym wypadku to potomkowie dawnych Helenów, którzy z jednej cudnej ziemi powędrowali w drugi kraj piękny, a którzy zdolność bezpośredniego a naiwnego obcowania z wyimaginowanym światem duchów przenieśli z sobą w Podbeskidzie i ziemię jej i wody zaludnili faunami i nimfami swoistego pochodzenia.

Wszystke wody śląskie, a zwłaszcza święta rzeka Ślązaka, Olza, pełne są tak zwanych utopców. W każdem wiekszem plosie olziańskim, w każdej głęboczynie, gdzie ciemno zielone wody toczą się w cichości, mieszkaja ich całe rodziny. Są tam miejsca tak głębokie, że dna ich trudno zgruntować chociażby najdłuższą żerdzią. I jeżeli śmiałek jakiś rzuci się naprzód głową w głęboczynę, żeby się przed kamratami pochwalić swoją odwagą, wtedy one wyłażą z pod korzeni podwodnych, wypełzają z raczych dziur, zagniewane, że ich spokój zakłócony, i usiłują nieszczęśnika udławić. Za nogi go łapią, za głowę chwytają, wieszają się gromadami po jego ramionach i zadusić starają. Wtedy wystarczy pomyśleć jakieś słowo święte, a przerażone utopce plują ze złości, kwiczą i zmykają pod korzenie. Czasem, w piękne dni słoneczne wychodzą z wody na brzeg, wywlekają swoje pierzyny na trawę i suszą je. A kiedy małe utopczęta baraszkują i koziołki niefrasobliwie fikają nad wodą, stare grzeją się w słonku i patrzą niespokojnie, czy ich człowiek nie podgląda. I wtedy tylko można je dokładnie obejrzeć. Są to maleńkie istotki w czerwonych ubrankach, o szpiczastych główkach o małpiej mordce z paluchami o żabich błonach, z maleńkiemi kopytami zamiast stóp, na głowie czerwienią się śmieszne czapeczki, a wielkie, wodniste oczy łypią podejrzliwie dookoła. A gdy spotrzegą człowieka, porywają pierzyny z trawy i wskakują w wodę. I gdy człowiek stanie nad takiem plosem, to jeszcze długo widzi wzburzoną wodę, pieniste grzywy na jej powierzchni, wartkie koliska jakieś i białe bańki wyskakujące z bulgotem z ciemnozielonej głębiny.

Kiedy w górach oberwą się chmury i Olza wezbierze żółtą, gliniastą wodą, kiedy rozpęta się nad podziw i z krzykiem wielkim i szumem leci w doliny, opęczniała niepojętą złością wtedy utopce odprawiają swoje weseliska. Zbierają się w gromady wielkie, skaczą, tańczą, czepiają się płynących drzew i przęseł mostowych, rzucają się w spienione wiry naprzód głową, wydziwiają, krzyczą, chichocą rozgłośnie i w błoniaste, pokraczne dłonie biją z przewielkiej uciechy.

---

* * *

„Módl się i pracuj“! chociaż słabnie ramię, choć — zda się — pęknie nić żywota krucha: kto Wiarą silny — tego ból nie złamie! ten z gruzów cieni w światłość wzniesie ducha!...

E. Kłoniecki.

A kiedy im zaciasno w jakiemś plosie, wtedy ciężko przemyśliwają, jakby się przenieść w inne rzeki, gdzie jeszcze sporo miejsca. Zazwyczaj czatują na ludzi, co idą koło rzeki. Wystawiają wtedy łeb z wody i płaczliwym głosem domagają się pomocy, obiecując za to sporo dukatów. I jeżeli złakomi się na nie jakaś rogata dusza, i o północy zajedzie do rzeki, na sam jej środek, wtedy utopce wyłażą z wody, siadają z piskiem do drabiniastego wozu i każą jechać. Wówczas człowiek zacina strachliwe konie i jedzie. Tylko po drodze nie wolno mu się oglądać. A gdy zawiezie je na nowe miejsce w sąsiedniej rzece, wtedy znikają w wodzie, a parobek po powrocie do domu znajduje na wozie pod mokrą słomą węzełek z dukatami.

Krzywdy one człowiekowi poprawdzie nie rade czynić, tylko trzeba także im dać spokój. A jeżeli sąsiedztwo ich zbytnio nie na rękę, wystarczy rzucić w ploso ogryzioną kość baranią, wtedy wyniosą się w inne miejsce.

Po miedzach zaś i granicach polnych latają w ciche wieczory letnie tak zwane *fajermony* czyli *chłopy ogniste*. Są to stworzenia bez głowy, całe w ogniu, wlokące za sobą łańcuchy ogniste. Biegną kłusem z jednego krańca pola na drugi, zawracając w bok, błądzą, kołują, znowu biegną naprzód, a za nimi wlecze się ognista smuga i długi, brzęczący łańcuch. Mają to być — jak starzy ludzie powiadają — pokutujące dusze tych panów, którzy za życia grzeszyli i krzywdę chłopu wyrządzali. Za to bowiem, że taki pan worywał się w rolę chłopa, że rok rocznie o jedną skibę ubrał mu pola, musi teraz pokutować po śmierci i łańcuchem pola wymierzać. I to tak długo, aż przyjdzie godzina, w której dokona się naznaczona pokuta. Duch taki schodzi człowiekowi z drogi, nie rad go spotyka, a jeżeli człowiek czasem zdoła go ukradkiem podejść, to widzi, że zamiast głowy ma ogromny wiecheć płomieni, buchających z karku, a płomienie te szumią i pryskają iskrami, że przeokropny strach spada na śmiałka.

Nocami, kiedy strudzeni ludzie śpią spokojnie, przychodzą tak zwane mory, żeby krew z nich wysysać, siadają im na piersi, ciężarem wielkim przywalą, ręce i nogi bezwładnem spętają i zaczynają ssać krew. A sposobu na nie nijakiego niema. Chyba że się znajdzie jaki mądry wandrowny, jak to raz się zdarzyło u pewnego szewca we Frysztacie. Mora co nocy go nachodziła, że biedny szewczyna był już wycieńczony do imentu. I przyszedł mądry wandrowny i powiedział szewcowi, że go wyratuje z pazurów przegrzeszonej mory. I kiedy już wszyscy posnęli, a wandrowny czuwał przy drzwiach, przez kluczową dziurkę, jęła się przewiekać długa słomka. Wówczas wandrowny przeciął ją nożycami. A nazajutrz znaleziono wójtową córę umarłą w łóżku. Wtedy wszyscy wiedzieli, że to ona była tą morą, i że jej krasa pochodziła z krwi szewcowej.

Miejscami zaś chodzą po polach i bezdrożach nocznice w kształcie małych płomyków i czatują na ludzi. A gdy kogo posłyszą idącego, biegną wszystkie nadprzedbieżki, przedchodzą go, otaczają kołem i zaczynają tańczyć i mamić. — Pójdź!... pójdź!... pójdź!... — wołają wszystkie na niego. I tak długo koło niego tańczą, że wkońcu człowiek traci świadomość, gdzie się znajduje, pozwala im się prowadzić, a one go wodzą i wodzą przez calutką noc, w błotach taplają, po kolczastych krzakach przewlekają, a kiedy nad ranem niebo zacznie się bielić, odchodzą z chichotem. Wtedy dopiero człowiek spostrzega, że błądził bez przerwy w kółko. Czasem znowu, kiedy parobcy pasą po nocy konie, przychodzą również, płoszą konie, a samych parobków wiodą po bezludziach aż do rana.

Podobne do nocznic są połednice. Czychają one znowu na żniwiarzy, którzy pokładli się na snopach wczas południowego wypoczynku. Przychodzą na palcach, chyłkiem, przez chwilę usypiają ludzi, poszeptując im bez przerwy do ucha: — Śpisz!... śpisz!... śpisz!... — a kiedy ludzie w głęboki sen zapadną,

wówczas tarmoszą ich, depczą i ciepłą wodą oblewają. A człowiek budzi się potem zmęczony i ze sił wyzuty.

Na rozdrożach lub pod lasami, gdzie to są ukryte ondraszkowe skarby zbójnickie, siedzą małe djabełki, nieduże, zwane Jaroszkami i tamte pieniądze suszą. Nad pieniądzmi unosi się niebieskawy płomyczek, a taki Jaroszek siedzi w kuczki schylony nad kociołkiem i małą łopatką przesypuje zbójnickie dukaty i suszy je. Człowiekowi nie sposób je dostać. Jaroszek bowiem zazdrosnie ich strzeże. Gdy jednakże nadejdzie niedziela Palmowa, wtedy Jaroszek wybiera się do najbliższego kościoła, siada na gzymsie lub oknie i słucha pilnie, jak ksiądz czyta Ewangelję o Męce Pańskiej. Wówczas pieniądze pozostają bez dozoru i kto sprytny a nie bojący się, może pójść i nabrać sobie dukatów dowoli. Lecz takich śmiałków jest bardzo mało.

Nieraz zdarza się, że sam djabeł w postaci ludzkiej lub w postaci starego kota dostaje się do miłujących się i w zgodzie żyjących gazdów, by ich do grzechu skusić i na zawsze poróżnić. Pochodzenie tych djabłów jest następujące. Kiedy aniołowie zbuntowali się w niebie i Pan Bóg kazał ich Michałowi Archaniołowi strącić w czeluście piekielne, to na niebie była sroga batalja. Wkońcu Michał Archanioł zwyciężył a strącone anioły, zwane już odtąd djabłami, spadały trzy dni i trzy noce z nieba. I jedne spadły prosto w piekło, gdzie po dziś dzień siedzą. Drugie spadły w rzeki i morza. To są tak zwane utopce. A trzecie spadły na ziemię. Włóczą się teraz po ziemi gromadami lub w pojedynkę, usiłują zło pomiędzy narodem ludzkim plenić, błąkają się po wydmuchowiskach lub bezdrożach, kocą się pod krzakami, a wszędzie usiłują wejść i do grzechu skusić.

Strzygonie znowu dokuczają ludziom w ten sposób, że wyłażą z grobu o północy, czatują na pijaków lub wracające dziewczyny z zabawy tanecznej i strzyżą im ubrania na strzępy. Są to albo małe dzieci, co umarły bez chrztu świętego, albo też dorośli umarli, co za życia mieli na plecach znak w kształcie nożyc. O północy wychodzą z grobu, ściągają z siebie koszulę, pozostawiają pod krzyżem i idą czynić ludziom psoty przeróżne. Wtedy trzeba pójść ukradkiem, koszulę tę zabrać, na wieży powiesić, a kiedy strzygoń wróci i nie zastanie jej, szuka jej gorączkowo. A gdy godzina pierwsza wybije, a strzygoń jej nie znajdzie, kładzie się w grób bez koszuli, ludzie zaś odtąd mają już spokój.

W domach i chatach mieszkają Duszyczki. Małe to stworzonka, biedne bardzo i opuszczone, żywiące się jeno dobrem słowem człowieka. Starają się przysporzyć gazdom szczęścia i zdrowia. Dlatego też każda gaździnka, zanim się wieczorem spać położy, pozamiata pilnie izbę, ażeby chodzące po izbie Duszyczki nie potknęły się na słomce lub innem śmieciu. A kiedy im krzywda dzieje się u gazdów, skarżą się płaczliwym głosem w piecu, gdy gaździnka ogień zapali i świeżego drewna nałoży w płomień.

Przyjdzie posępna jesień, a z nią wichry przenaramne i zawieje, wtedy w kominie zawodzi jękliwie smutna Meluzyna. Szuka swoich dzieci, co je gdzieś we świecie pogubiła i teraz próżno usiłuje je odnaleźć. Jest to jakaś pokutująca królewna, zamieniona w morską pannę o postaci pół ryby i pół niewiasty, a która w ten sposób za niewiadome grzechy pokutuje.

Po strychach, po starych zamczyskach, na dalekich rozdrożach i pod mostami, a gdzie niegdzie na cmentarzach i we młynach istnieją Straszydła. Są to przeważnie dusze ludzi pomarłych, którzy za życia zbytnio grzeszyli i teraz pokutują na ziemi i pokutować muszą tak długo, aż się znajdzie jakiś odważny człowiek, co stanie i zawoła w kierunku Straszydła: — Powiedz mi, co chcesz duszo pokutująca!... — Wtedy Straszydło odpowie, człowiek powinien spełnić prośbę nieszczęśliwej istoty.

Pod jednym szczytem beskidzkim pod Godulą, mieszka wąż złotogłowiec ze złotą koroną na głowie, król wszystkich węży, jaszczurek i żab na Śląsku. Paste-

rze nieraz go widywali, jak wychodził z głębokiej rozpadliny skalnej i wygrzewał się na słonku, a tysiące tysięcy węży i innych płazów śpieszyło do niego, żeby swego króla uczcić. W Czantorji zaś, ba prawie w głębi każdego wzniesienia znajduje się śpiące wojsko. W jednych miejscach śpi wojsko szwedzkie, co tu kiedyś na cholerę pomarło, w innych zaś skrzydlaci rycerze Sobieskiego, co pod Wiedniem zginęli, a którzy przez Śląsk jechali.

W podziemiach kopalni zaś włodarzy duch Pustecki, albo jak go na Górnym Śląsku nazywają — Skarbnik. Porządny to duch, nikomu krzywdy nie czyniący, a przeciwnie dbający o życie górnika. Nie trzeba go tylko gniewać zbytniem pieronowaniem.

Takie są powiarki śląskie o duchach i bożętach podbeskidzkich.

Gustaw Morcinek.

POWSTANIE STYCZNIOWE

„Pierwszy chrzest ognia wziąłem 23. b. m. *(23. kwietnia 1863)*, chrzest solenny i huczny. Wyciągnięta ręka Ojczyzny wśród gradu kul i huku wystrzałów błogosławiła nowozaciężonych na drogę śmierci lub zwycięstwa.

Spotkanie było dość gorące. Jako dowód przytaczam, że w pierwszej sekcji strzelców, w której miałem honor być podoficerem, z 12 żołnierzy pozostało tylko 3 przy życiu.

Poetycznie wygląda obóz, wesołą jest pogadanka około ogniska, wzniosły widok modlącej się przed spoczynkiem młodzieży, ale prozą dość ckliwą jest służba obozowa, zmiany pikiet, patrole, rozdzielanie żywności, układanie obozu. Trudno Ci będzie wystawić sobie, jak to wygląda obóz wśród nocy, jak to dymią ogniska, chrupają rzędem związane konie, błyszczy broń ustawiona wokoło drzew...

Dwa razy wymknąłem się Moskalom, raz w ciągu walki, a wtedy Naczelnik i ci, co byli przy nim, uważali mnie za straconego; drugi raz, kiedy noc przepędziłem w środku prawie moskiewskiego obozu, bo wokoło o kilka kroków obozowali pół dnia i noc całą...

Napisz mi, co nasi koledzy i władza szkolna cała porabia, jak tam teraz w sztubie wygląda"?

Tak z pola walki pisał do swego kolegi i przyjaciela powstaniec, którego imię nie przeszło do historji, ale ukryte zostało między tysiącami imion innych bohaterów, co w noc styczniową szli walczyć za Ojczyznę.

Ażeby dać pełny obraz powstania 1863 r., nie wystarczy zestawiać historyczne fakty, wiązać je z tłem polityki europejskiej, wyliczać klęski i zwycięstwa. Bo istota powstania leżała w czem innem — ona tkwiła w gorących sercach młodzieży, w duszach spragnionych piękna ideału, w buncie przeciw temu wszystkiemu, co podłe, płaskie, służalcze. I dlatego — chociaż walki skończyły się pogromem, choć zamiast sztandaru wolnosci na stokach cytadeli postawioną została straszna szubienica — idea miłości Ojczyzny wyszła zwycięsko z nową glorją ofiary i poświęcenia.

Pod złą gwiazdą wszczęło się powstanie, a raczej powiedzmy, wybuchło w chwili, gdy gwiazda jego jeszcze nie wzeszła. Naród zwolna szedł ku idei walki zbrojnej — ale szedł kilkoma falami, a każda z nich posuwała się w innem tempie. Właściciele ziemscy, należący do „Towarzystwa Rolniczego", a wpatrzeni w swoją gwiazdę przewodnią „pana Andrzeja", marzyli o odbudowaniu Ojczyzny pracą od podstaw, pracą organiczną na roli, oddaloną od wszelkiego szczęku broni i wysiłków oręża — i zgodnie ze swoim programem podno-



L. Kopaliński. (Z Tygodn. Ilustr.)

„Z szlachtą polską, polski lud".

programu „milenerami", prorokując im, że za tysiąc lat nie dojdą do celu.

Utworzyła się więc trzecia fala, która chciała najszybciej zrealizować dążności niepodległościowe i w zbrojnym wystąpieniu widziała jedyny środek. Grupa ta, nazywana powszechnie obozem „czerwonych" w przeciwstawieniu do „białego" obozu Jurgensa, miała swoich przedstawicieli w szerokich kołach młodzieży, skupiającej się w Akademji Medycznej i Szkole Sztuk Pięknych w Warszawie, Jan Kurzyna, Karol Nowakowski, Stanisław Szachowski — to pierwsi prowodyrowie, ‚czerwonych".

O ile w czasach żelaznej a krwią zbroczonej pięści Paszkiewicza, program hr. Andrzeja Zamyoskiego był najstosowniejszym, o tyle po śmierci krwawego tyrana (1856) punkt ciężkości począł się przesuwać na lewo, ku obozowi „czerwonych". Czerwoni rozwinęli energicznie swą działalność, budząc ducha w narodzie przez dostarczanie zakazanych przez cenzurę rosyjską książek i broszur, przez tworzenie tajnych kół. — Równocześnie Mierosławski uzyskał od Garibaldiego pozwolenie na założenie w Genui szkoły podchorążych, która przeniesiona potem do Cuneo, a zamknięta już w r. 1862 na dyplomatyczną interwencję Petersburga, dostarczyła przecież powstaniu wielu wyszkolonych oficerów.

Czerwoni wypowiadali swe uczucia przez manifestacje patrjotyczne. Rozpoczęły się one uroczystem nabożeństwem za dusze trzech wieszczów, odprawionem 23. lutego 1859 r. Od tej chwili ludność stolicy coraz częściej zaznaczała manifestacjami swoje uczucia, śpiewano na ulicach Warszawy „Boże coś Polskę", „Jeszcze Polska nie zginęła" i inne pieśni narodowe. Po wszystkich pismach zagranicznych odbiła się

sili stan gospodarczy i ekonomiczny kraju. Program ten był tak powszechny, że postać jego twórcy i kierownika, hr. Andrzeja Zamoyskiego, cieszyła się popularnością.

Ale byli ludzie, którzy orjentowali się, że program Zamoyskiego przeciągnąć się może na dziesiątki lat i nie wydać pożądanego owocu — chodziło o szybsze tempo działania. Wyrazicielem tych pragnień stał się Edward Jurgens. Nie lekceważył on poprzedniego programu, ale chciał nadto w rękach polskich skupić wszystkie urzędy, placówki pracy społecznej i wymuszać na rządzie powolne ustępstwa zmierzające do zapewnienia Królestwu naprzód autonomji, potem niepodległości. Ale i ten program nie zdołał zaspokoić wszystkich. Zapalony rewucjonalista, Ludwik Mierosławski, nazwał zwolenników tego

echem manifestacja „milczenia", którą zorganizowano w Warszawie (1860) w dniu zjazdu cara Aleksandra z cesarzem Franciszkiem Józefem i królem pruskim, Wilhelmem. Przybyłych monarchów nie powitała stolica Polski ani jednym okrzykiem, a nawet ani jednem spojrzeniem — pojazdy jadących przesunęły się przez puste, wyludnione i milczące ulice Warszawy. „W dzień galowego przedstawienia rozlano w teatrze ciecz cuchnącą, lożę cesarską wymazano błotem, tak, że tylko dzięki nadzwyczajnym wysiłkom służby teatralnej przedstawienie mogło się o wyznaczonej porze rozpocząć. Wspaniałej iluminacji w Łazienkach, oprócz gości cesarskich, przypatrywały się milczące drzewa i policjanci. Gapiom, zatrzymującym się na ulicach podczas przejazdu powozów dworskich, młodzież oblewała ubrania kwasem siarczanym, a postrojonym damom obcinała nożycami suknie" *(A. Śliwiński, Powstanie styczniowe. Warszawa 1919., str. 53.).*

Rząd nie wiedział początkowo jak reagować na narodowe uczucia stolicy. Gdy jednak manifestaje przybierały coraz potężniejsze rozmiary, przyszło wkońcu do starć ulicznych z policją. wreszcie 27. lutego 1861 r. generał Zabłockij kazał strzelać do tłumu — ofiarą padło „pięciu poległych". To ostatnie krwawe zajście odbiło się znowu echem po całej Europie. Namiestnik Gorczakow nie czując dość siły, by uspokoić wzburzoną stolicę, począł myśleć o nowych reformach dla Królestwa, o poczynieniu ustępstw. Car przysłał do Warszawy człowieka, który jako Polak miał wedle jego zamysłów najlepiej odpowiedzieć potrzebom chwili — a człowiekiem tym był Aleksander, margrabia Wielopolski.

Dużo możnaby pisać o charakterze i programie politycznym margrabiego, lecz chociaż surowo wypadłaby ocena jego zamysłów, nie możnaby jednak odmówić mu dużej dozy dobrej woli i chęci podniesienia Ojczyzny. Niestety Wielopolski wyżej stawiał własny program od woli i uczuć całego narodu, a kiedy przyszło do konfliktów, nie wahał się użyć krwawej przemocy, byle tylko z planów swoich na jedną jotę nie ustąpić. A jakież to były plany? Wielopolski już w słynnym swoim „Liście Szlachcica Polskiego" zdradził swoje zamysły. W jego rozumieniu najlepszą była droga kompletnej lojalności wobec rządów zaborczych, z których najmniej groźnym wydawał mu się rząd rosyjski. Wszak ta sama krew słowiańska płynęła w obu narodach, a wyższa kultura Polski otwierała piękne widoki na przyszłość — marzyło się Wielopolskiemu zbratanie Polski z Rosją, a nawet wysunięcie jej na czoło całej słowiańszczyzny. Konsekwentnie do obranego planu stał się Wielopolski wrogiem wszelkich konspiracyj, które gotów był stłumić z całą bezwzględnością. Tragedją działalności Wielopolskiego



Jak się robi z kosy karabin
(z Tygodn. Ilustr.)

było to, że w chwilach konfliktu z „czerwonymi" stawał ipso facto w obronie interesów Rosji. Tymczasem wobec rosnącego wciąż znaczenia „czerwonych" do konfliktu przyjść musiało i przyszło.

Brutalność margrabiego zraziła ku niemu społeczeństwo polskie. Wreszcie dzień 8. kwietnia 1861 r. krwawo zapisał się na kartach dziejów Warszawy — na skutek wniosku postawionego na tajnej naradzie przez Wielopolskiego, wojsko strzelało do bezbronnych manifestantów i położyło trupem przeszło 200 ludzi. Jeżeli margrabia miał kiedy w kraju jakich zwolenników, to po tym dniu wszyscy stanęli przeciw niemu. Uzyskane dla kraju ulgi i reformy, usunięcie niemiłych społeczeństwu osobistości, sprowadzenie do Warszawy W. Ks. Konstantego, który snuł dalekie plany niepodległego Królestwa pod swojemi rządami — te wszystkie dzieła Wielopolskiego nie zdołały przekonać narodu do jego programu. Dążenia „czerwonych" wykazywały jasno, że wkrótce dojdzie do wybuchu. Wielopolski postanowił zdusić powstanie w zarodku, wyłapać „czerwonych", wysłać ich na Sybir i tym sposobem prowadzić dalej naród na drogę nieskazitelnej lojalności względem cara. Ale nawiązane w tym celu porozumienie z „białymi" nie odniosło pożądanego skutku — przeciwnie, „czerwoni" dowiedzieli się o wszystkiem i postanowili zemścić się. Zemsta, będąca wyrazem najskrajniejszych elementów obozu „czerwonych", a wypowiedziana w nieudanych zamachach na życie namiestnika Lüdersa, Wielopolskiego i W. Ks. Konstantego zraziła chwilowo stolicę do obozu rewolucyjnego, lecz okrucieństwo margrabiego względem winowajców (wszystkich trzech kazał powiesić) zjednało im znowu ogólną sympatję. (C. d. n.)

A. Cruxy.

WIELKI MUZYK I OBYWATEL

Oto tytuły, jakimi ozdobi historja imię I. J. Paderewskiego, gdyż ma on równie nieśmiertelną kartę nietylko w zakresie sztuki, przez sztukę samą, lecz w wybitnej mierze i poza jej obrębem, w dziedzinie dyplomacji i polityki w dziejach Odrodzenia Polski, jako wcielenie ducha narodu polskiego.

Zdala od Ojczyzny, w trjumfalnej podróży koncertowej po wielkich miastach Stanów Zjednoczonych obchodził w dniu 18. listopada ub. r. mistrz Paderewski 70-tą rocznicę urodzin. Cała Polska a z nią cały świat kulturalny chyli czoła przed zasługą Jego na polu odtwórczości muzycznej, w której nie ma dziś sobie równego; czci, największego z muzyków polskich współczesnych, który rozniósł sławę imienia i siłę ducha polskiego, w Europie i za Oceanem. Niepodobna określić słowami czarownej siły wrażeń, jakie gra tego artysty wywołuje w słuchaczach. Jest w tej grze najgłębsze uduchowienie, najpełniejsza uczuciowość, jest porywająca ekspresja, jest ona najwyższym typem twórczej odtwórczości.

Koncertowo wirtuozowska karjera Paderewskiego rozpoczęła się już w bardzo młodym wieku, bo w czasie jego studjów muzycznych w Wiedniu u słynnego profesora Leszetyckiego. Po pierwszym swoim koncercie w Wiedniu w r. 1887 uwieńczonym ogromnem powodzeniem, koncertuje Paderewski w muzycznych centralach wszystkich stron świata, wszędzie przyjmowany z zachwytem, oceniany przez krytykę w najwyższych super-

latywach, zyskuje sławę największego światowego pianisty.

Koncerty jego zagraniczne posiadały same w sobie wartość pierwszorzędną, świadomej propagandy myśli polskiej, propagandy dokonanej zwłaszcza przez utwory Chopina.

Poważany i czczony wysoko jako kompozytor o pokaźnym dorobku w najróżnorodniejszych formach muzycznych, daje poznać i w tej dziedzinie wysoką kulturę, urok inwencji, zwłaszcza w utworach drobniejszych, a mistrzowskie opanowanie formy i wiedzę kontrapunktyczną w kompozycjach o założeniu wielkiem.

Wśród dzieł fortepianowych, jedne stylizują wykwintną formę antyczno-taneczną, jak: Menuety, Sarabanda, Caprice, itd., inne zaczerpnięte z polskiego ludowego ducha, jak: Tańce tatrzańskie, Krakowiaki, Mazurki, Polonez. Nadto utwory liryczne: Elegja, Legendy, Chants du voyageur, Canzona, przepojone szlachetnym sentymentem i śpiewnością. Trzy inne największe dzieła fortepianowe Paderewskiego: Koncert, Fantazja i Sonata odznaczają się bujną inwencją i strukturą wybitnie wirtuozowską.

Urok melodji i ogromna szczerość wyrazu bije z pieśni I. Paderewskiego: „Siwy koniu", „Polały się łzy me czyste", „Dudziarz", „Tylem wytrwał" itd. W późniejszym zaś cyklu do słów Catulle Mendes'a ujawnia się już bardziej nowożytna harmoniczna budowa.

Wzniosłość kompozytorskiego talentu Paderewskiego przejawiła się w jego wielkiem orkiestrowem dziele: w Symfonji M-mol, powstałej pod wpływem idei narodowych ,jako wizja powstania styczniowego, a będącej muzycznem zobrazowaniem heroicznych porywów i zmagań ducha polskiego. Dzieło pod względem techniki orkiestralnej mistrzowskie.

Opera „Manru", której premjera w Dreźnie spotkała się z entuzjastycznem przyjęciem, to dzieło o wielkiem bogactwie tematów śpiewaczych, świetnej muzycznej charakterystyce postaci operowego dramatu, o bujnym kolorycie instrumentacji i niezrównanym czarze śpiewaczego liryzmu. Zalety te, świadczą o wielkiej sile kompozytorskiego talentu i na tem polu.

Muzyka Paderewskiego jest nietylko swojską, ale idzie ku muzyce narodowej i dokumentuje niejednokrotnie też jawną lub ukrytą myśl patrjotyczną.

Tyle o działalności obywatelsko-patrjotycznej mistrza przez muzykę samą.

Jako wielki patrjota użył wpływów swoich na propagandę sprawy polskiej także i poza obrębem sztuki, a obdarzony będąc niepospolitą zdolnością dyplomatyczną, połączył z misją swoją poselsko-artystyczną podobną misję polityczną, za której wyniki naród polski go błogosławi. Wysoki poziom etyczny, jakim się w tej dziedzinie odznaczał, ten idealizm, to poświęcenie, to gorące i dobre serce, wszystkie te przymioty duszy zjednały u narodów wobec nas biernych i nieprzychylnych uznanie i szacunek, w następstwie tego owe znane „Orędzie Wilsonowskie", które ostatecznie stało się podwaliną prawnego uznania politycznej niepodległości Polski.

Oto pobieżnie skreślona działalność życiowa, tego naprawdę wielkiego człowieka. I dziś gdy w zdrowiu i w pełnej żywotności ducha obchodzi 70-tą rocznicę urodzin, zdobywając nowe trjumfy za Oceanem i przekonując świat cały o wartości intelektualnych skarbów polskich, my Polacy odczuwamy serdeczną radość i dumę z tego powodu i możemy powiedzieć w znaczeniu najszczytniejszem o Ignacym Paderewskim, że: „D o b r z e z a s ł u ż y ł s i ę O j c z y ź n i e".

O. J.

Z POLSKI I ZE ŚWIATA

SPRAWY RELIGIJNE

Religijność narodu rosyjskiego mimo prześladowań bolszewickich objawia się nieraz z żywiołową siłą i z wzruszającą ofiarnością. Zdarzyło się n. p. że marynarze z Kronsztadu zażądali przysłania im kapłanów, a gdy ci przybyli, tłum 5-cio tysięczny poniósł ich triumfalnie. 7-go października bolszewicy wydali dekret zakazujący sprzedawania środków żywności wszelkim duchownym. Ludność wierząca, choć zubożała i znękana, żywi ich z własnych skromnych dochodów. — W czasie świąt Bożego Narodzenia, bolszewicy urządzali specjalne, antireligijne przedstawienia, wyświetlali filmy, wygłaszali odczyty i pogadanki, zohydzające religię, a tysiączne tłumy przepełniały świątynie i oblegały ich mury, gdy do wnętrza dostać się nie mogły. — Zakazali też bolszewicy publicznych dysput na temat walki z religią, gdyż kończyły się one zwykle porażką bezbożnictwa.

Wobec niepowodzeń tej jawnej, brutalnej walki, tem systematyczniej planują bolszewicy propagandę tajną, nieznacznie obałamucającą umysły i zdeprawiającą moralnie.

Zakusy swe zwracają zwłaszcza w kierunku armji, ludu wiejskiego i młodzieży, a nawet dzieci. Nie poprzestają na terytorjum Rosji, coraz intenzywniej dążą do utworzenia „międzynarodowego frontu antyreligijnego". Centralę tej agitacji przenoszą do Berlina. „Stowarzyszenie bojowników bez Boga" zeznaje: „łączność z zagranicą coraz bardziej się zacieśnia, wymiana korespondencji staje się coraz częstsza, a przy sposobności nadmienić też należy dodatnią rolę, jaką odgrywa esperanto". — Najdzielniejszy opór bezbożnym dążnościom stanowią ludzie żywej wiary, religijnie uświadomieni, a nadewszystko gorliwi kapłani. Przeciw nim też zwraca się w szczególny sposób nienawiść bolszewicka. W samym Petersburgu rozstrzelano w październiku 17 księży. Niedawno z Berdyczowa zesłano na Sybir księdza proboszcza Bryńczyka. Był to już jedyny ksiądz katolicki w tej miejscowości.

W ciągu ostatnich lat 6-ciu w Chinach poniosło śmierć męczeńską 30 kapłanów, w tem 8 Belgów, 7 Włochów, 5 Chińczyków, 3 Amerykanów, 3 Francuzów, 2 Niemców, 1 Hiszpan i Irlandczyk.

Nowe cudowne uzdrowienie w Lourdes. 18-to letnia Alicja Guillantus, pochodząca z rodziny suchotniczej, od lat czterech okryta otwartemi ranami, przez lekarzy uznana za nieuleczalną — w Lourdes odzyskała zdrowie, rany zasklepiły się odrazu, a po tygodniu ledwie blizny o nich świadczyły i lekarze stwierdzili całkowite wyleczenie.

Przy katolickim uniwersytecie w Pekinie ma powstać oddział żeński przy współudziale Sióstr z zakonu św. Benedykta.

Dr. Józef Moscati, profesor chirurgji na uniwersytecie w Neapolu, zmarł przed trzema laty w opinji świętości. Obecnie podobno już rozpoczęto wstępne prace, związane z procesem jego beatyfikacji.

SPRAWY NARODOWE I POLITYCZNE

19 stycznia rozpoczną się obrady nowej sesji Ligi Narodów, tym razem pod przewodnictwem delegata Niemiec. Na porządku dziennym umieszczono wiele spraw i nas żywo dotyczących, jak ochrona mniejszości na Górnym Śląsku, skargi i noty rządu niemieckiego w sprawie mniejszości niemieckiej w woj. śląskiem, poznańskiem i na Pomorzu, kwestji rokowań między Litwą a Polską. Rada ma też powziąć szereg uchwał w sprawie rozbrojenia, ograniczenia wyrobu amunicji, oraz wzmocnienia środków zapobiegających wojnie. W dziedzinie humanitarnej Rada ma zająć się kwestją międzynarodowego instytutu pedagogicznego w Rzymie, ograniczeniem fabrykacji narkotyków, projektem statutu międzynarodowego dla spraw uchodźców i innych.

Powstał projekt reorganizacji naszych ministerjów. Ministerstwo lotnictwa ma objąć całokształt spraw lotnictwa zarówno cywilnego jak wojskowego. Po zniesieniu ministerstwa pracy i opieki społecznej, sprawy pracy mają być przeniesione do ministerstwa przemysłu i handlu, sprawy opieki społecznej do ministerstwa spraw wewnętrznych, a sprawy ubezpieczeń do ministerstwa skarbu.

Jakób Joffre, marszałek Francji, zwycięzca z nad Marny zmarł w Paryżu dnia 2 stycznia b. r.

Urodzony 1852 r. w Rivesaltes w Pirenejach wschodnich w 16-tym roku życia wstąpił do liceum Charlemagne na wydział matematyczny. Nie będąc uczniem świetnym był uczniem wzorowym, spokojnym, uważnym, karnym. Zaletami charakteru zyskiwał uznanie nauczycieli, przyjaźń kolegów. W hierarchji wojskowej postępywał szybko. W 1870 r. został podporucznikiem, 1872 — porucznikiem, w 1876, a więc w 25 roku życia — kapitanem. Pracował jakiś czas w kolonjach, następnie wykładał naukę fortyfikacji w szkole aplikacyjnej w Fontainebleau. W 1895 r. jako podpułkownik był sekretarzem komisji wynalazków, interesujących armję. Sławnem zwycięstwem nad Marną przechylił szale wielkiej wojny na stronę sprzymierzonych.

Dzielny żołnierz, zdolny wódz, był wielkim, a skromnym, szlachetnym, głęboko religijnym człowiekiem. Śmierć jego okryła żałobą Francję, a pogrzeb „nieugiętego, a milczącego wodza", był wzruszającą manifestacją uczuć patrjotycznych.

Pomnik Tadeusza Kościuszki, dłuta artysty-rzeźbiarza M. Lubelskiego, stanął w Łodzi na Placu Wolności. Składa się on z szerokich stopni, cokołu i obeliska, na którym stoi postać bohatera, o charakterystycznym wyrazie twarzy, pełnym zamyślenia. Cokół zdobią płaskorzeźby, wyobrażające główne zdarzenia z życia Kościuszki. 1) Waszyngton dziękujący Kościuszce za pomoc w walce o niepodległość St. Zjednoczonych. 2) Przysięga Kościuszki na rynku krakowskim. 3) Kościuszko i Głowacki. 4) Kościuszko i włościanin otrzymujący prawo wolności. — Pomnik wykonany w czerwonym piaskowcu (podstawa i stopnie), w miedzi i bronzie.

Dnia 4 bm. została otwarta w Pałacu Sztuki w Krakowie „Wystawa Styków", t. j. ś. p. Jana Styki, oraz jego dwóch synów Tadeusza i Adama.

Wielką salę w Pałacu Sztuki zajmują dzieła Jana Styki znanego twórcy sławnej „Panoramy Racławickiej". Kompozycje jego treści historycznej (Witold pod Kownem, Dziewica Orleańska), oraz religijne (Kuszenie na pustyni, Przemienienie Pańskie i t. d.) czynią głębokie wrażenie.

Tadeusz Styka, młodszy syn wielkiego artysty wystawia cały szereg portretów, przeważnie kobiecych, odznaczają się one ogromną subtelnością i łagodnem, harmonijnem zestawieniem barw.

Adam Styka zajmuje się motywami wschodniemi. Obrazy jego cechuje gorący silny koloryt. Sceny uliczne z Marokka, typy Arabów Egipcjanek, błękitne fale Nilu, wszystko oświetlone gorącem, jaskrawem słońcem podzwrotnikowem.

Wystawa Styków ma trwać 3 tygodnie od dnia otwarcia.

Towarzystwo: **„Les amis de la Pologne"** w Paryżu, mając na celu zacieśnianie przyjaźni polsko-francuskiej, przystąpiło do wydawania miesięcznika dla młodzieży francuskiej p. t „N o t r e P o l o g n e". Pierwszy numer tego wydawnictwa zawiera szereg zajmujących artykułów, jak: „Wezwanie do młodzieży francuskiej", pióra pani Bailly, wielkiej przyjaciółki Polski, opis Borysławia, wesołe opowiadanie Boya-Zeleńskiego o tem, jak w Paryżu z lekarza został pisarzem i inne.

Szereg pism podnosi sprawę wprowadzenia łaciny, jako języka międzynarodowego. Wykazawszy szkodliwość różnojęzyczności, wyliczają cechy, jakiemi język międzynarodowy odznaczać się powinien i podkreślają konieczność jego naturalności. Język sztucznie stworzony z konieczności zeszedłby wkrótce do roli żargonu. Językiem międzynarodowym musi być język posiadający literaturę naukową, historyczną, prawniczą — piękną, aby zaś nie urazić żadnego z narodów żyjących, trzeba szukać tego języka wśród martwych — trzeba znaleść taki, któryby łatwo dał się ożywić, t. j. dostosować do nowych warunków. Cechy te posiada język łaciński.

A więc uczmy się łaciny, bo może nam być jeszcze bardzo potrzebna!



Chiny. — San-ha ts unn.

Biedne dzieci chińskie

RÓŻNE WIADOMOŚCI

Czy trzeba się uczyć? Dzisiejszy człowiek z uniwersyteckiem wykształceniem przeciętnie połowę swego życia przepędza na przygotowaniu się do swej fachowej działalności. Czy warto tyle lat drogiego i krótkiego życia tracić? Ciekawe światło na to pytanie rzucają doświadczenia porobione w Rosji Sowieckiej. Mianowicie rosyjski neurolog Kasanin skonstatował pojawienie się specjalnej choroby umysłowej u tych działaczy społecznych w Bolszewji, którzy wprost z warsztatów pracy fizycznej zostali wprzągnięci w pracę administracyjną, organizacyjną czy na odpowiednich stanowiskach. Między 20 a 30-tym rokiem życia występuje u takich osobników wzrost pobudliwości czyli przedrażnienie, zmniejsza się wydajność pracy, aż dochodzi do zupełnej utraty energji i zdolności wypełniania swych obowiązków. Chorobie tej noszącej nazwę wczesnego inwalidztwa psychicznego towarzyszą jak się przekonano zmiany patoligiczne naczyń mózgowych. Jest to doświadczalne stwierdzenie faktu, że do pracy umysłowej trzeba być przygotowanym nietylko przez zdobycie pewnych wiadomości, ale i przez długoletnie, systematyczne w tym kierunku ćwiczenie. A więc trzeba się uczyć.

Wzrost ludzi maleje ku równikowi, zwiększa się ku biegunom tak, że gdy północny mieszkaniec półw. skandynawskiego mierzy 175 cm. to murzyńskie plemię Akka zamieszkujące Afrykę równikową dochodzi tylko 138-140 cm. Pomiędzy przyczynami tego zjawiska jedną z ciekawszych jest skonstatowana zależność wzrostu dzieci od wieku ich rodziców. Mianowicie dzieci małżeństw starszych wiekiem są dorodniejsze od dzieci młodo zawartych związków. Z tego powodu ludy południowe, które prędzej dorastają i dlatego bardzo wcześnie wstępują w związki małżeńskie są drobniejsze od późno dojrzewających ludów północy.

NAJNOWSZE WYDAWNICTWA

Czeska-Mączyńska: Heluśka z Rakowickiego Młyna. Powieść dla młodzieży z ilustracjami M. Jaroszyńskiej. Nakład Księgarni Św. Wojciecha. Str. 226.

Helusia bardzo wcześnie traci matkę — ojciec nie umie wychowywać małego dziecka, więc oddaje córeczkę bezdzietnej ciotce. Zaczyna się dla Helusi twarde życie, szare, bez rozrywek, wśród ciężkiej na dziecięce siły pracy fizycznej. Ciotka ukrywa serce pod grubą skorupą szorstkości, gwałtownych wybuchów, a małe serduszko Helusi kurczy się w bólu osomotnienia, tęsknoty za zmarłą matką.

Jaśniejsze chwile zabłysły w jej życiu z chwilą gdy przestąpiła próg szkoły — potem, gdy od czasu do czasu brano ją do teatru.

W ciężkich dniach powstania dziewczynka staje się bohaterką: przenosi listy, ocala ważne papiery Rządu Narodowego, ratuje razem z ciotką uwięzionych powstańców, jest niezmordowana, ilekroć chodzi o to, by wspomóc swemi drobnemi wysiłkami sprawę narodową. A ma dopiero czternaście lat...

Wśród tych przejść Helusia dojrzewa duchowo, nabiera zasad, które do końca będą wytyczną jej życia. Tymczasem wśród ciszy spadają ciosy na dziewczynkę: musi opuścić szkołę, a tak pragnie uczyć się. Oddana na praktykę do krawcowej rzuca się namiętnie do lektury tak, iż psuje wzrok i grozi jej ślepota. Ule-

czona przez zacnego doktora Rydla, bez miary wdzięczna za odzyskanie oczu, idzie w życie jako człowiek dzielnych, jasnych zasad.

Książka napisana z talentem, ze znajomością duszy dziecka, odsłania przed wzrokiem czytelnika życie wielu takich Heluś pozbawionych matki, ciepła domowego kierunku, zdobywających wszystko własną dzielnością, dobrocią i nieprzeciętnością zalet charakteru

M. B. Lupecki. Na Amazonce i we wschodniem Peru. Książnica Atlas. Lwów — Warszawa. 1931. W r. 1928 wysłał rząd polski wyprawę złożoną z kilku członków, na zbadanie terenów kolonizacyjnych w Peru. Jednym z uczestników wyprawy był Lupecki, którego książka stanowi zajmujący opis kilkumiesięcznych wędrówek wzdłuż Amazonki i po wschodniem Peru. Autor umie widzieć wiele, maluje plastycznie stosunki polityczne i społeczne wśród białych i czerwonych mieszkańców dziewiczej przyrody. Niestety, „cywilizowany“ biały bardzo smutno się nieraz przedstawia w porównaniu z „dzikim“ indjaninem, który nie zatracił jeszcze pierwotnej uczciwości i prostoty życia. Stosunki niewolnicze, istniejące nie legalnie lecz faktycznie, z rozległą skalą wyzysku i nieludzkich nadużyć, są tam smutną — a mało u nas znaną rzeczywistością. Dużo rysów obyczajowych z życia plemion indyjskich, wiadomości geograficzne i przyrodnicze, na tle urozmaiconych nieraz przygód podróży, wszystko pisane żywo, dowcipnie, opatrzone w liczne fotografje i mapkę sytuacyjną, składa się na całość nie tylko zajmującą, ale pożyteczną, godną polecenia dla bibliotek szkolnych i prywatnych „biblioteczek“ młodzieży.

Nadesłane do redakcji Wydawnictwa Książnicy-Atlas we Lwowie: **Górska Halina: „O księciu Gotfrydzie. Rycerzu Gwiazdy wigilijnej“.** Dwanaście cudownych opowiadań przez mistrza Johannesa Sarabandosa, astrologa króla Jegomości opisanych. (str. 172).

Janusz Meissner: „Licznik z czerwoną strzałką“, nowele lotnicze.

Wyd. **Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu: Dr. Marjan Z. Arend: „Kurs elementarny języka angielskiego na podstawie fonetycznej“.**

Wyd. **Bibloteki religijnej we Lwowie: ks. dr. Bielawski: „Rok kościelny w życiu chrześcijańskiem“.**

S. Barbara Zulińska C. R.: „Anioł Stróż“. opowiadania dla dzieci. Wyd. III. z ilustracjami R. Szyrajewówny.

S. Barbara Zulińska: „Mała Święta“, obrazki dla dzieci z życia św. Teresy od Dzieciątka Jezus. Wyd. IV.

Wyd. **Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie Ida Baccini: „Pamiętnik kurczątka“**

Stanisław Maykowski: „Pieśń o wydrze“.

Seweryn Przybylski: „Nowe 1001 baśni“ — omówimy w następnych numerach.

Wydawnictwo „Kronika Rodzinna“ w Warszawie. Kazimierz Małomorski: „Szlakiem dawnych dziejów“. Wrażenia z wielkiej podróży.

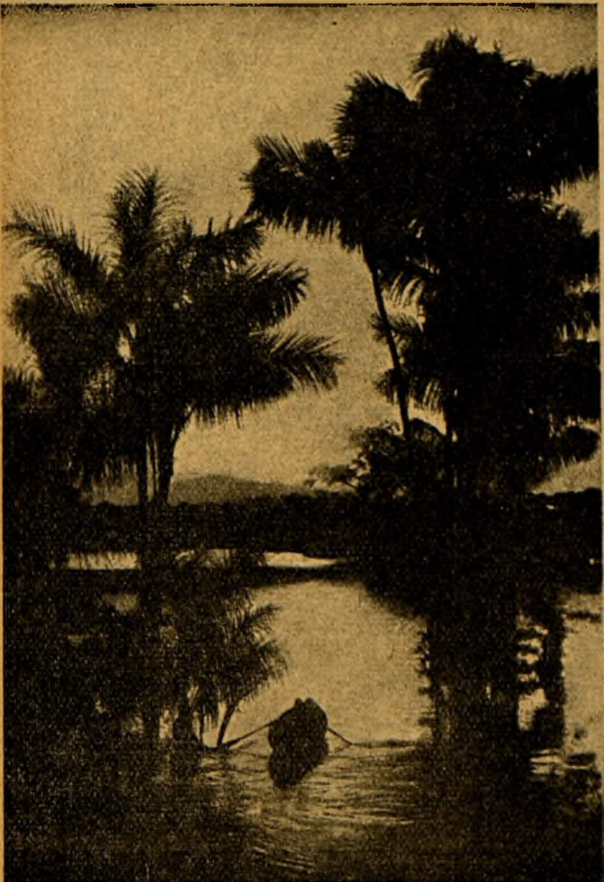
Wanda Kieszkowska: „Boży Chłopczyna“. (Wicio de Fonbgalland).

Zofja Porejko: „Pan Jezus i dziecko“, Najbliższe przygotowanie do pierwszej Komunji św.

Wydawnictwo: „Młodzież Misyjna“: Jan Cassano: „Korsarze z Kwang-Tung“. Powieść chińska. Opracował z włoskiego A. B.

OD REDAKCJI

Za listy wszystkie razem dziękuję — i tym stałym, wytrwałym korespondentkom i tym „nawróconym“, które po długiej przerwie zaczynają na nowo. Wszystkie listy witam z radością i chętnie każdej odpisałabym osobno, ale tym razem odstąpić muszę miejsca administracji, która prosi, by Wam, kochane dziewczynki specjalne złożyć podziękowanie, ale zgadnijcie za co? Za listy?... O, z pewnością — za pamięć też, ale najwięcej za zagadki, które musimy za was rozwiązywać Za zagadki do rozwiązania? Przecież jak która z nas przyśle zagadkę to dołącza i rozwiązanie — wprawdzie nie koniecznie trafne, ale dołącza... — Oho dołącza... a właśnie że czasem nie dołącza!... Zaraz podam kilka kawałków. Przychodzą rano pieniądze z poczty. Wiązka kuponów leży u mnie na stole. Przegląda się je ko kolei: W jednym widnieje: 13.50 zł., „proszę przysyłać, cały rok“ i podpis — nic wię-



Z pól misyjnych. Nad Amazonką, „Królową rzek“ od 1500 r. O. O. Franciszkanie szerzą słowo Boże. Nie zrażeni klimatem zabójczym dla Europejczyków, przetrwali najgorsze chwile, zanim przystąpiono do osuszenia miejscowości malarycznych przez plantację odpowiednich drzew, pochłaniających wyziewy powietrza i zbytnią wilgoć terenu. Chciwość zdobywców, szukających nie tyle zbawienia dusz, co korzyści materjalnych, zrażała nieraz mieszkańców do Europejczyków i utrudniała pracę misjonarską. I dziś ona nie łatwa, jednak wzmaga się zaufanie do księży i zakonnic katolickich, pod których opiekę uciekają nieraz tubylcy przed surowemi wyrokami własnych kapłanów, pragnących przebłagać gniew duchów ofiarami z ludzi.

Liczba rodzin katolickich wśród Indjan wzrasta. Na stacjach misyjnych dzieci przystępują codziennie do Komunji św., a starsi co piątek. — Zajmujący artykuł podają „Misje katolickie“. 1929. Nr. 555).

* * *

cej — literalnie nic. Czy to nie zagadka? Głów się teraz człowieku, czego odemnie ta przemiła osóbka pragnie. 13.50 — ani to na „Dziś i Jutro“ bo prenumerata jak wiadomo wynosi 8 zł., ani na Mały Światek. A może ona prosi o „mszaliki“ lub zamawia obrazki. Kto ją wie?

Odkładam wesoło pierwszą zagadkę. Zabieram się do korespondencji: Kartki są równie obiecujące: „Czemu Szanowna Redakcja przysyła mi rachunek? Przecież już prenumeratę wpłaciłam: Zosia X-ówna“. Idę do katalogu, przeglądam sprawdzam. — Widnieje wprawdzie nazwisko Zosi — ale przy nazwisku strona biała... nic nie wpłacono. Piszemy, pytamy co się stało. „Ach tak — Zosia wpłaciła, ale na ręce swojej gospodyni klasy, wskutek czego dostałyśmy o jedną prenumeratę więcej z danego gimnazjum... ale czy Zosieńka nie domyśla się, że powinno się o tem Administrację uwiadomić, bo przecież nie jesteśmy wszystkowiedzące“ i t. d., i t. d. Domyślacie się już czemu to dziękuję wam za zagadki?

Basiu — prenumerata od września nie opłacona.

REFLEKSJE PODCZAS NAUKI O MAGNETYŹMIE

Któż nie widział nigdy magnesu, tego tak nikłego, pozornie zwyczajnego żelaza, a gdy zbliżymy do niego inne kawałki żelaza, wtedy tak je mocno trzyma z jakąś dziwną, niewidzialną siłą. Magnes i jego działanie jest jedną z najciekawszych tajemnic przyrody. Ale gdy tak zastanawiamy się nad naturą i działalnością tego dziwnego kruszcu, uderza nas nadzwyczajna analogja między nim a — duszą ludzką.

Magnes w przyrodzie występuje jako ruda, jest łatwo kruchliwy, rdzewiejący, psujący się. Duszą ludzka niezahartowana, w pierwotnej swej postaci nie jest ani dobrą, ani złą, walczą w niej rozmaite instynkta, łatwo się kruszy i ulega złym wpływom niszczącym dobre siły jej ducha.

Żelazo tak miękkie jak i stal poddaje się łatwo działaniu siły magnetycznej, z tą tylko różnicą, że stal na długo zatrzymuje w sobie siłę magnetyczną, a żelazo miękkie jest magnesem tylko na czas złączenia z magnesem siłodajnym. Są ludzie, którzy mają taką duszę ze stali, dają się namagnetyzować dobrym wpływom, pozwalają nadać kierunek swej pracy i są jej potem wierni. Ta stalowa dusza staje się magnesem promieniującym zawsze, równo i spokojnie. Źródło swej siły zaczerpnęli z tego potężnego magnesu jakim jest Bóg w Kościele Swoim świętym i powszechnym.

Działanie magnesu zmniejsza się z kwadratem odległości, a zatem jeżeli oddalimy się za bardzo Magnes potężny przestanie działać.

Magnes wysyła linje sił dookoła siebie, a te linje mogą być pochłonięte przez zasłonę magnetyczną. Nie wolno nam zasłonić sobie działania Dobrego Magnesu zasłonami naszej pychy, samolubstwa, a nie bądźmy my sami zasłoną dla innych!

Jeśli złączymy dwa magnesy z sobą, wówczas utworzą one jeden, ale nierównie silniejszy magnes — jedność w pracy potęguje ją i jej rezultaty.

Wiemy z doświadczenia, że jeśli do magnesu zawieszonego i trzymającego żelazne naczyńko dokładać będziemy po kawałku żelaza codziennie, to po pewnym czasie żelazo przyczepione do magnesu będzie o wiele więcej ważyło niźli on sam, a wiemy też, że jeśli codzień będziemy dokładać do naszej pracy nad sobą małą ofiarkę to po pewnym czasie dojdziemy do nadzwyczajnej siły ducha i będziemy spełniać czyny daleko przechodzące nasze siły wrodzone.

Każdy magnes łatwo udziela swej siły żelazu — tak i każdy człowiek oddziaływuje swoją osobą na otoczenie a człowiek dobry wytwarza dookoła siebie tę miłą atmosferę szlachetnego serca i silnej woli, a sięga ona szeroko i siły jego skutecznie działają.

Wiemy wreszcie, że istnieją trzy sposoby zniszczenia siły magnetycznej w magnesie. Jeden jest przez ogrzanie magnesu — pod wpływem dość wysokiego ciepła, natura magnesu się paczy, tak jak leniwieje i paczy się natura ludzka otoczona ciągłą atmosferą zbytku, wygody i egoizmu. Drugi sposób popsucia magnesu jest przez silne uderzenie. Na nieszczęścia i silne wstrząsy, człowiek jest narażony przez całe życie, ale nie wolno mu wówczas tracić nadziei, łamać się w sobie i psuć nabytą już siłę duchową. Trzeci, nakoniec sposób, aby magnes przestał działać jest pozostawić go bezczynnym. Żeby człowiek nie utracił swych zalet ducha musi niemi pracować. Jeśli chce być dobrym, musi dobrze czynić, a zachowa i spotęguje w sobie tę cnotę. A nakoniec, tak, jak wszscy żeglarze od najdawniejszych czasów używali kompasu czyli igiełki magnetycznej w podróżach morskich, ażeby nie zabłądzić, tak my, jeśli nie chcemy zabłądzić na szerokich oceanach życia, musimy być zawsze wpatrzeni w cel, do którego dążymy i nic nie przedsiębrać bez Boga, który nam zawsze jeden i ten sam kierunek pokazuje.

R. Solańska,
kl. VIII. gimn. SS. Urszulanek
w Poznaniu.

R O K 1 8 6 3

Przybiegli, nikt nie wie poco
Okrężną drogą dokoła,
Jesienną, pochmurną nocą
Chyłkiem, polami od sioła.

Przybiegli stanęli, spojrzeli
Przez otwór okienny nieśmiało,
Zajrzeli do wnętrza kuźni
I... tchu im w piersiach nie stało...

Przywarli do chłodnej ściany,
Zduszone zerwały się głosy —
— Toć prawda... O Jezu kochany
Kowal przekuwa już kosy...
— Te kosy, co w blasku ogniska
Srebrem się mienią i złotem —
A serca im w piersiach waliły
Tak mocno i głucho, jak młotem.

— Patrzcie, na sztorc je przekuwa,
Na naszą broń, ludzie mili,
Pomnijcie?... za czasów onych
Kosami chłopi się bili...
Po kątach pełgał mrok skryty
Kuźnię przesnuwał dym siwy,
A w starem żelastwie odbity
Mienił się błysk chybotliwy.
Odjęli twarze od szyby,
Żylaste pięści ścisnęli,
— A na nas, nie czas to niby?...
— Czas — w oczy sobie spojrzeli.
— W las trzeba skryć się o świcie,
Na broń przekuć kosy stare...
— Pójdziemy — westchnęli skrycie,
— Za polską ziemię i wiarę...

I cicho, chyłkiem, bez słowa
Pomknęli do wsi po grudzie...
— Tam kowal kosy przekuwa,
— Dajmy i swoje, o ludzie...

. . . .

Wrócili, weszli, stanęli,
Skupieni jacyś i niemi,
Z pod sukman kosy wyjęli
I milcząc, złożyli na ziemi.

Renia Gerlecka.
klasa VII. gimn. Inowrocław.



Trzeci Zjazd Związku

Bardzo serdecznie zapraszane zleciałyśmy się do Grodu Orląt na Trzeci Zjazd Związku Sodalicyj Szkół średnich. Trzy dni obradowałyśmy nad sprawami aktualnemi i znać było, że skupiłyśmy się pod sztandarem Matki naszej i Królowej Korony Polskiej, aby poznać siebie wzajemnie i zobaczyć działalność naszą ośmiu lat, uwydatnioną w cyfrach... — Chwile tam tak mile spędzone, zostaną niezatarte w pamięci naszej... Kilka fragmentów zdążyłyśmy ująć aparatem fotograficznym...

Oto ostatni dzień naszego pobytu, podczas oddania hołdu prochom „Orląt" lwowskich.

Sodaliska z Rybnika.

CECHY CHARAKTERYSTYCZNE MOTYWU KASZUBSKIEGO

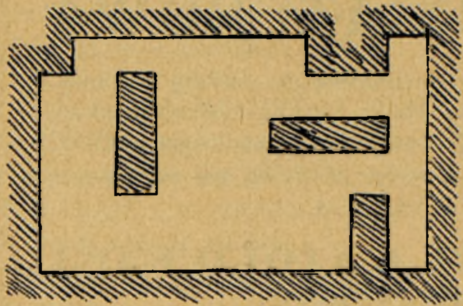


Motyw kaszubski posiada koloryt łagodny, przeważa w nim barwa granatowo-szafirowa. Wpływ to blizkości morza. W charakterystycznym układzie wianuszka kaszubskiego podpadają gałązki pełne i soczyste. których zieleń posiada odcień żółto zgniły. Poważny charakter nadają motywowi kaszubskiemu rąbki z koloru czarnego, biegnące wewnątrz kwiatka, a na zewnątrz pąkówki. Serduszko kaszubskie jest zamknięte i lekko rąbkowane.. Dopełnieniem motywu kaszubskiego są pajączki o złotych nóżkach, zakończonych ciemnemi plamkami.

ŁAMIGŁÓWKI

ŁAMIGŁÓWKA 1.

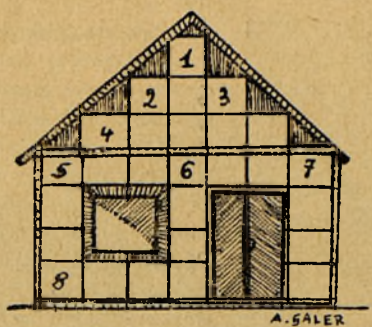
(ułożyła Jadwiga Kwiatkowska, Lublin).



Figurę powyższą rozdzielić linjami poziomemi i pionowemi na litery i z nich ułożyć imię.

KRZYŻÓWKA „CHATA".

(ułożył A. Galer).



Poziomo: 2. Wąż, 4. Twórca rapsodji, 5. Zasłona, 8. Sławny filozof.

Pionowo: 1. Ptak, 3. Przyimek (wspak), 5. Głos pewnych stworzeń, 6. Pierwiastek chemiczny, 7. Inaczej „zagon".

Wszystkim dobrze czyń!

CZEM CHCĘ BYĆ?

Czy mam wytknięty cel życia do którego dążę? — Jakich środków używam do osiągnięcia celu?

TO NOWY KONKURS!

Przemyślane, napisane i do dnia 1. III. 1931. nadesłane do redakcji „Dziś i Jutro" odpowiedzi, poddane będą ocenie konkursowej. Najlepsze będą w całości, lub w części wydrukowane i nagrodami w postaci książek uświetnione.

. . . .

A więc? . . . Czy dużą tekę na gromadzenie rękopisów ma w tym celu redakcja przygotować?

TREŚĆ Nr. 5.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie 8 zł. — Cena pojedyńczego egzemplarza 80 gr. — W Ameryce prenumerata roczna wynosi 1½ dolara. Konto P. K. O. 404.930.

Adres Redakcji: Kraków, ulica Starowiślna 11.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: *Julja Felicja Bronikowska.*

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

DRUKARNIA
POLSKA KRAKÓW